

PAUL ACKER.

## Tryumfujący tenor.

(Przeł. z francuskiego A. S.)

Paweł Darsene po otrzymaniu pierwszej nagrody za śpiew w konserwatorium wstąpił do 177 regimentu piechoty, aby odbyć służbę wojskową i wkrótce poznał, że ona dla niego nie będzie przykrą. Sierżant bowiem, gdy dowiedział się o jego zawodzie nie mógł powstrzymać się od wykrzyknika: „Och Pan ma szczęście!” — a kapitan pytając go — traktował go pobłażliwie z czego wynioskował, że uważa go za żołnierza mało znaczącego. Zresztą będąc jeszcze w konserwatorium Paweł Darsene dowiedział się, że przed rokiem pewien śpiewak z warietè, odbywał swoją służbę wojskową bardzo przyjemnie, bo śpiewał na wieczorach wydawanych przez prefekta i wyższych wojskowych.

Zatem dla niego, który ukończył konserwatorium z odznaczeniem i został zaangażowany do opery — służba wojskowa ukazywała się w przyszłości cudowną.

Dwa tygodnie nawet nie upłynęło, kiedy został wezwany pewnego poranku do raportu.

Pułkownik siwiejący już, pełen dobroci pytał go, jakie potrzeba mieć studja, egzamina, aby otrzymać pierwszą nagrodę za śpiewu — a w końcu prosił go, by zechciał udać się jutro do prefekta na herbatkę — no i może, może tam coś zaśpiewa.

Paweł Darsene nie dziękował za to, władza dawała mu rozkaz — słuchał.

Gdy wszedł do salonu prefektów, pani prefektowa zbliżyła się doń uprzejmie i przedstawiła swoim dwóm córkom, potem generałowi i jego żonie, następnie pułkownikowi dragnów.

Podczas, gdy goście rozmawiali ze sobą, a Paweł Darsene stał na uboczu, zbliżyła się do niego starsza córka prefektów i uśmiechając się zamieniła z nim parę słów uprzejmych a w końcu ofiarowała się mu akompaniować, gdyby zechciał śpiewać.

Śpiewał, najpierw jedną, potem drugą i trzecią piosenkę. Córka generała przewracała kartki córce prefekta, a głos Darsena raz pieszczotliwy, to lekki, to poważny lub słodki zachwycał wszystkich.

Zaledwie skończył — prefektowa przystąpiła do niego i obsypała go pochwałami, zawołała męża, aby i on dołączył swoje i przełożonych jego, a w końcu uprosiła młodego żołnierza, by śpiewał na jej wieczorze.

Od tej chwili życie Pawła Darsena upływało bez żadnych kłopotów. Śpiewał tylko.

W czasie deszczu, wilgoci lub śniegu nie odbywał ćwiczeń wojskowych, bo mógłby się przeziębować. Uwalniano go od przynajmniej ćwiczeń, ponieważ musiał pracować nad swym głosem, uczyć się pieśni, które miał śpiewać — często dostawał urlop do nocy, gdyż wieczorami udzielał lekcji bezpłatnie córkom prefekta i generała. Podoficerowie uczuwać dla niego pewien rodzaj szacunku.

Jednakże prefektowa przygotowywała wielką uroczystość pragnąc nią wszystkich olśnić — wieczór muzyczny, którym pokazałaby, że godnie dzierży berło swych poprzedniczek. Darsena wezwała i z nim ułożyła program, punktem atrakcyjnym miał być duet, który odśpiewać miała z Darsenem.

Dzień uroczystości nadszedł, salony zabłysły światłem, jasnymi toaletami, uniformami i frakami. Prefektowa wyglądała zachwycająco w swej jedwabnej sukni.

Dziesiąta godzina wybiła. Muzyka i śpiewy zaczęły się. Prefektowa pyła się, czy Darsen już jest.

Nie — Darsena nie ma. Trzydzieści minut upłynęło, zaczyna się niepokoić — szukają go. Darsena nie ma jeszcze. Goście z zajęciem słuchają preludji na skrzypcach.

Darsene, Darsene, gdzie on jest? Nie, Darsena nie było zupełnie.

Prefektowa zdyszana szuka generała i pułkownika, a gdy przybiegają do niej pyta ich, dlaczego Darsena nie ma. Ale oni nie wiedzą.

Jakto nie wiedzą? Powinni wiedzieć, przecież w wojsku przełożeni muszą wiedzieć, co robia ich żołnierze.

Irytuje się — wyobraża sobie, że cały wieczór zepsuty a jej osoba narażona będzie na

pośmiewisko. Prosi pułkownika, aby udał się do kasarni i zobaczył czy Darsene jest tam, dlaczego nie przychodzi.

— Ale Pani — wyjął pułkownik — ja.. — lecz prefekt przerywa mówiąc:

— Prozę cię pułkownikowi idź do kasarni. — Pułkownik zatem idzie.

Być może, że w czasie tej rozmowy Darsene przybył — niestety nie ma go a wskazówka zegara wskazuje że do jedenastej brakuje 12 minut. Prefektowa bohatersko zaczyna śpiewać, głos jej drży — jednak oklaskują ją.

Darsena nie ma, pułkownik nie wrócił, generał poci się, przeczuwając coś strasznego.

Teraz Darsene powinien śpiewać, p. efektowa nachyla się ku pierwszym skrzypcom i każe grać. Grają — Darsena, ani pułkownika nie ma. W salonie śmieją się i żartują. Nareszcie pułkownik zjawia się. Prefektowa zwraca się ku niemu:

— Czy znalazł go Pan? — Tak. — Gdzie jest? — Odbywa areszt! — On w areszcie! Kto śmiał ukarać!

— Oficer, który dopiero wczoraj przybył i zauważył, że szabla Darsena była zardzewiała.

— To niesłychane! niesłychane! Więc ten porucznik nie wiedział, z kim ma do czynienia? Ale gdzie Darsene? Pan go naturalnie przyprowadził.

— Proszę mi wybaczyć, lecz został w areszcie.

— Jakto?

— Ależ tak — przepisy są, że żołnierz ukarany nie może być uwolniony, dopóki swej kary nie ukończy.

— Pułkowniku!... — wykrzyknęła prefektowa załamując ręce z rozpacz.

W tej chwili pułkownik wolałby być, aby pruska bateria strzelała do niego — i zdało mu się, że ziemia rozpadnie się i pochłonie go, ale nagle zjawia się generał i z czołem zmarszczonym zwraca się do niego:

— Pułkowniku racz wrócić do kasarni po żołnierza Darsene.

I tonem żalonym dorzuca:

— I jedź po niego moim powozem.

TADEUSZ BILINSKI.

## Niesamowita przygoda nocna malarza Futurusa

Z omotanej w grubą przedzę mgieł wieżycy kościółka spływały właśnie ostatnie udarzenia dwunastej godziny, po których poniósł się w mleczną dal rozgłosny podźwięk starodawnego hejnału, odrąbanego przez czujnego, a zatem trzeźwego strażnika wieżycy, kiedy dobry malarz Futurus opuszczał niegościnne progi tawerny, wyżenion zgola nielitościwie, jako iż to była „godzina policyjna”. Nie zdąwszy przekonać „niezłomnego” właściciela gospody o potrzebie i konieczności wypicia „tego ostatniego” musiał iść... Lecz dokąd?... iego sam nie wiedział jeszcze.

Wyszedłszy, oscylując nieco, na ulicę, stanął zdumiony.

Z ulicy ani śladu!

Szara, zimnym obślizgłym pocalunkiem całująca obleśnię w twarz mgławica, jak za poczęcia świata, pochłonięła wszystko, co ulicę stanowić zwykło; jakby w nagłym mgławicznym roztopie zanurzyło się, zatraciło zgola wszystko, co było kształtem i barwą i czekało na nowe formy istnienia, do których miała powołać jej przedwieczna Wola Twórcza Wielkiego Artysty.

— Trzeba mi iść, lecz dokąd i... jak iść, kiedy niema gdzie i którędy... kiedy niema po prostu ulicy?!

Wkońcu zdecydował się przeciw iść, obrawszy sobie najpewniejszy i niechybnie do celu wiodący kierunek t. j. t. zw. „prosto nosa”.

Alisi — o zgrozo — w orbitę jego słanowczych zamierzeń weszła nieprzewidziana przeszkoda: szara, ociekająca brudnymi kropkami mgławicy ściana.

— Ki djabel? — zaklął groźnie — przecież coś jest, co nie jest tylko mgłą.

Upewniwszy się szeroko rozpostartymi rękoma (przyczem nogi zakreśliły kupistyczne elipsy), że tej przeszkody ominąć się nie da, obrał nowy, wprost diametralnie od poprzedniego różny kierunek, t. zw. „od siebie” i postąpiwszy w prostym —

jak przypuszczał słusznie — kierunku, natknął się znów na równie stałą, nieustępliwą zaporę.

Naraz zadrzał:

W nagłym rozświetlu okrażnie rozchybotanego ognika, który wgrzążył się w mgławiczne cielsko, dojrzał szare, upiornie wydłużone kadłuby murów... przez chwilę widział je idące obok siebie z wolną pośrodku przestrzeni, ale za chwilę zwały się znów ze sobą, złączyły, weszły niejako w siebie i utworzyły coś dziwnie pokracznego, niesamowicie spletanego, ni to olbrzymi kadłub potężnego ichtyozaura, który luskając tysiącem ognistych ślepi, sunął wprost na dobrego malarza Futurusa. Przerażony, a więcej może zdumiony tymi poczwarnymi koszmarami, umknął w obok, aby zostawić wolne dla potwora przejście, atoli w tej samej chwili zachwiał się i wyrzucony jakby odśrodkową, przekorną mocą, oparł się o nagie, obślizgłe, zimne ramie, którego pochwylił się kurczowo, obejmując je miłośnie oplołem swych ramion. Podniósłszy z ciekawością ku górze ciężką mu „dziwnie” głowę, ujrzął nad sobą jedno ze ślepi potwora, złośliwie mrugające ku niemu — jakby naigrawało się z niedoli Futurusa, którym owładło przykre uczucie niemocy i opuszczenia.

Potwór sunący bezgłośnie przystanął a wówczas mógł malarz przekonać się, że na cielsko jego złożyły się kurczowo powyginane kadłuby kamienic, (w jakichś potwornych, kubistycznych skrótach) o pośladowanych dachach i spiralnie skręconych oknach, które wstrząsał widoczny spazm męki i cierpienia.

— Potwór pożarł drugą stronę ulicy — pomyślał ze zgrozą i zalewał dobry malarz Futurus, którego tkliwe serce bolała krzywdą „ulicy”.

Pośród tych rozważań „dobrego” malarza roztopiło się odnowa w topieli mgieł bezecne cielsko potwora.

Wtem złowrogi ryk, syk i trzask doszedł Futurusowych uszu. Z mgławicznego roztopu wyłonił się nowy koszmara, luskający parą ślepych ogromnych białek i przemknął tuż obok malarza...

Rozwidniło się w twórczej głowie malarzowej, skutkiem czego zdołał całkiem jasny skonstruować sylogizm.

— Jeśli pojechał, to musi tu być gdzieś ulica, a skoro jest ulica... to idźmy...

Domówiwszy tych słów śmiało zapuścił się w gąszcz mgły na poszukiwanie tej drugiej strony, gdzie — jak przypuszczał — musi być jego „domicillum”.

Idąc — w nienagannie nakreślonej przekątnej — utknął znów na „czymś”, skąd odrzucony tą samą przekorną mocą, znalazł się z powrotem przy... latarni, która — o złośliwości! — zachychotała zjadliwie, szczerząc zęby i zjawiwszy daszek powiewała ku zdeterminowanemu Futurusowi.

— Nie pójde już, dość tego — skoro niema którędy iść, to nie pójde.

Z poza przesłony mgieł wypłynął cień, naprzód ogromny, bezkształtny potem coraz mniejszy, aż wreszcie zatrzymał się przy malarzu, który z tępo ukwionymi oczyma wpaływał się w rynsztok „pożartej” ulicy...

— Co pan zgubił? — zagadnął go „cień”, w którym z trudem rozróżnił strażnika byleją ulicy.

— Nic nie zgubiłem, czujny wartowniku, którego czujność nie... zdołała przeszkodzić potworowi, aby... pożarł ci ulicę... nie nie zgubiłem — mówię — jeno szukam...

— A zatem zgubił pan coś... jeżeli szuka?... — Nie — przedstawicielu zbytycznej władzy — powtarzam, nic nie zgubiłem, jeno szukam.

— Co pan szuka?!

— Nie szukam, jeno... nie mogę znaleźć.

— Czegóż pan — do djabła — nie możesz znaleźć?!

— Nie, nie... mogę znaleźć... znaleźć... ulicy, to jest raczej drugiej strony ulicy...

— Ot masz ją pan przed sobą, — tam po drugiej stronie.

— Hi, hi, hi! — zaśmiał się dobry malarz Futurus — po drugiej stronie?!

Proszę?!

A gdzie to zdaniem łaskawcy, ta druga strona?!

Dobryś sobie! mówi mi, że to tam, a ja właśnie tam byłem i znów jestem i to ma... być ta druga strona?!

I śmiał się Futurus, śmiał z naiwności i tępoty ulicznej władzy — a z nim śmiała się i „wierna” latarnia nocna, wzięwszy się z uciechy pod boki...